Rok I. Lwów, wtorek 31. marca 1908. Nr. 1.

GONIEC

2 centy — 4 hal.

Wychodzi codziennie o 12. w poł.

REDAKTOROWIE:

Stanisław Tokarski i Stanisław Brandowski.

PRENUMERATA:

We Lwowie:	Na prowincyi:
miesięcznie . . . . . . 1·— K	miesięczn. z przes. pocztową 1·50 K
„ z odnoszeniem do domu 1·50 „	kwartalnie „ „ 4·50 „
Numer pojedynczy . . 4 halerzy	Numer pojedynczy . . 6 halerzy

Zagranicą, 3 franki miesięcznie z przesyłką pocztową

Ceny ogłoszeń: 20 halerzy za 1-szpaltowy wiersz petitem	Redakcya i Administracya: Lwów, Zimorowicza l. 17. Numer telefonu 740.	Drobne ogłoszenia po 4 hal. od wyrazu. Najmniejsze ogłoszenie 40 hal.

Co dzień niesie?

Jakiś upasiony jegomość, czerwony na twarzy jak socyalistyczna krawatka, zapukał i wszedł nieśmiało do naszej redakcyi.

— Panowie niewezmą mi za złe, że przyszedłem poradzić się w pewnej sprawie?

— Prosimy.

— Jestem X., kandydat do Rady miejskiej.

— Niech pan siada — odzywa się ze współczuciem nasz reporter.

— Proszę ja panów — mówi nasz gość wśród objawów wielkiego zdenerwowania—przyszły do mnie jakieś dwa paniska i gadają, cobym ja kandydował do Rady miejskiej, bo niema ludzi. Ja niebardzo był za tem, bom chory na nerki, ale moja teściowa, jak to teściowa, krzyczy zaraz: kandyduj durniu, mastadonie jeden! no, a że ja nie lubię kłótni w domu, więc mówię tym paniskom, że dobrze, że ja mogę kandydować. Kazali mi tedy podpisać kawałek, że się nigdy niesprzeniewierzę najświętszym zasadom i przekonaniom, że będę stał twardo, i że zginę albo polegnę. Ja im tłómaczę, że śmierć i żona od Boga przeznaczona, ale czarno na białem takich rzeczy dawać nie mogę, bo ja już za to płacił, i że ja sobie przysiągł nigdy nic niepodpisywać, chyba recepis pocztowy, bo ja zawsze na święta wino z Ujsaheli sprowadzam. Więc powiedzieli, co mi na słowo wierzą, a tylko mam dać na plakaty i na agitacyę pięćset koron. Ja im na to, że ja nigdy nic niedaję, bo już ludzie dużo odemnie nabrali, a raz nawet jeden loteryjnik, co to niby wynalazł system na bryńską loteryę, wziął mnie na sto guldenów i potem ani się niepokazał, ani systemu niechciał przysłać. Ale znowu moja teściowa jak nie zacznie: cicho, ty morski koniu, dać trzeba, bo kto chce jechać, ten musi smarować — i wytargowała się na sto koron, które oni wzięli i zaraz uciekli, bo — powiadają — trzeba prędko robić.

Ano czekam ja, a we czwartek ubrałem się czarno i idę na miasto, i widzę, że mnie nigdzie niema. Ani na plakatach, ani na łopacie, ani na żadnej liście. Wchodzę do ratusza, a tam akurat te oba paniska coś z żydami na schodach gadają. Przystępuję do nich i pytam, co jest i co ze mną słychać. A jeden mówi na to: przepraszam, jak szanowne nazwisko?

No, ja trochę zdębiał — bo skoro on niewie, jak ja się nazywam, to jak on może agitować za moim wyborem? Przedstawiłem mu się jednak, a on mnie sobie dopiero przypomniał i mówi, że ja jestem tajny kandydat, którego się dobija na wszystkich listach, nawet na niektórych po dwa razy.

Myślę sobie: ta może to i tak jest — ale dziś widzę, że w żadnej gazecie mnie niema. Jażem się rozło-ścił, gdy te dwa paniska znów przyszły i mówią, że ja przechodzę do ściślejszego wyboru i mam dać 50 koron, bo inaczej fajtnę. Tak ja się chciał panów zapytać, czy warto dać albo niewarto, bo pieniądz teraz drogi, a potem i ta radziecka parada to znów nie takie wielkie ajwaj. Lada mydłek dziennikarski wymyśla im...

— Przepraszam pana, dziennikarze nie są mydłkami tylko ludźmi poważnej pracy. A panu radzimy stanąć do ściślejszych wyborów. Pięćdziesiąt koron nie żaden majątek, a choć pan niezostanie wybrany, to zostanie panu bodaj tytuł: b. kandydat do Rady król. stoł. m. Lwowa!

Czytelnikom naszym

zwracamy jeszcze raz uwagę, że wszelkie przesyłki adresowane „Goniec Polski“ uważać należy za przepadłe, gdyż odbiera je X. Gorazdowski, a pisma pod tym tytułem wydawać mu nie wolno.

Prosimy zatem, tak listy jak i przekazy pieniężne adresować:

„Goniec“, Lwów, ul. Zimorowicza 17, przyczem zwracamy uwagę, że miesięczna prenumerata „Gońca“ kosztuje wraz z przesyłką pocztową 1 kor. 50 hal., numer pojedynczy na prowincyi 3 ct., we Lwowie zaś 2 ct.

U nas i na świecie.

Przykro to, ale z konieczności stwierdzić musimy na podstawie relacyi niektórych pism ruskich z obozu staroruskiego, że hajdamacy wdarli się

Nocne życie w Paryżu.



już w sprawy cerkiewne i nadużywają ambony i konfesyonału do podżegania przeciw naszemu narodowi. Nie cytujemy poszczególnych wypadków, bo się pióro wzdryga na samo ich wspomnienie.

Najzaciętszy polakożerca poseł bukowiński

Wassilko

w przemówieniu swojem w komisyi budżetowej ujadał jak wściekły pies na Polaków. Zapowiada przytem, że w Galicyi przyjdzie do tego, że

Polacy muszą się wynieść

albo nastąpi anarchia i rewolucya podobna jak w Rosyi, a wszystkiemu, według niego, winni Polacy, którzy radziby Galicyę oddać w opiekę cara batuszki. Tak denuncyują nas podle ukraińcy w Wiedniu, sądząc, że tem zmuszą rząd austryacki do prześladowania Polaków!

Nie możemy tu dać wyczerpującej odpowiedzi na to, czem była Polska dla Rusi i czem są dla Rusinów Polacy dziś. Wspomnimy tylko pobieżnie co Rusini zawdzięczają „bezprawiu" polskiemu w ostatnich 40-stu latach. Zawdzięczają mu wogóle istnienie sprawy ruskiej, pomimo, iż w Rosyi żyje ich 25 milionów, a w Galicyi niespełna trzy i pół. Jak wygląda życie kulturne ruskie na Ukrainie, jak w Rumunii lub na Węgrzech? Odpowiedzią na to jest już samo przeniesienie punktu ciężkości z Ukrainy do Galicyi, ba nawet nadanie Rusinom galicyjskim geograficznie i historycznie fałszywej nazwy Ukraińców. Czy i to ma być poświęceniem na ołtarzu zachcianek anarchistycznych? Czy i ten kraj ma zasłużyć na nazwę zaprzepaszczonego? Czy ponownie ma być lud ruski poświęconym dla jedynego celu dokuczania Polakom?

Nad wyraz głupiem jest piętnowanie Polaków jako zdrajców państwa i jako tych, co chcą Rusinów wydać Rosyi. Krwią całych generacyj, konfiskaą licznych majątków, wygnaniem dziesiątek tysięcy, okupuje Polska swą samodzielność narodową wobec Rosyi.

Jakież ofiary jednak składali Rusini? Czy szli na Sybir i na szubienicę; lub choćby tylko na wygnanie, w obronie swego języka? Padali sami Rosyi do nóg, a tylko tu, gdzie pod ochroną Polaków się podźwignęli, odgrażają się Rosyi i nam. Na Podolu, Wołyniu i Ukrainie dwór polski opiekuje się ludem małoruskim, gnębionym przez Rosyę, a podlascy unici jedynie u Polaków znajdowali pomoc, której im odmawiali Rusini. Walczyliśmy za waszą i naszą wolność, ale bez pomocy Rusi, która swej wolności dochodzić umie tylko przeciw nam.

Jak już donosiliśmy dnia 2. kwietnia odbędzie się pierwsze posiedzenie Rady państwa.

Zebranie się Rady ma dla nas znaczenie o tyle doniosłe, iż w tym czasie

dokona się wstąpienie ludowców do Koła polskiego,

i utworzenie się przez to napowrót dawnej solidarnej, i silnej reprezentacyi narodu wobec rządu austryackiego.

Pisma niektóre zajmują się żywo tą kwestyą i omawiają warunki, na których dokona się zsolidaryzowanie posłów polskich. My jednak na razie o sprawy te nie potrącamy, sądząc, że komitet ludowców wybrany do pertraktacyi z Kołem polskiem będzie miał na tyle osobistej godności, że tak doniosłej sprawy nie splami stawianiem warunków, mających na celu osobiste korzyści przewódców stronnictwa ludowego. Chcemy wierzyć, że ludowcy odrzucą prywatę i pokażą raz światu, że im o interesy osobiste i partyjne nie chodzi, a tylko na oku mają interes ogólno-narodowy.

Dotychczasowe kompromisy z ludowcami wydały już piękne owoce dla dobra narodu. Ustała w zachodniej części kraju walka ludu z szlachtą i duchowieństwem, powtóre stronnictwa polskie we wschodniej Galicyi mogły przy wyborach tem skuteczniej stawić czoło atakom ruskim, gdyż nie łączyli się ludowcy z Rusinami i syonistami, jak przy wyborach do Rady państwa.

Czekamy teraz na najważniejszą sprawę, to jest zsolidaryzowanie się ludowców z Kołem polskiem. Czekamy pełni najlepszych nadziei. Czy nadzieje te się ziszczą, okaże najbliższa przyszłość.

Wszystkie nadzieje pokładane w sumieniu

Wilhelma II.

okazały się zwodniczemi. Wilhelm jako król pruski podpisał już ustawę wywłaszczającą, jak o tem donosiliśmy w telegramach. Podpisał, nie drgnęła mu ręka, nie zadrżało mu serce grozą przed tem, że ustawa hańbi nie tylko jego, ale całe państwo, całe społeczeństwo pruskie. Za kilkanaście dni ustawa będzie miała moc obowiązującą i piekielna maszyna hakaty zapuści lemierze na przestrzeni ziem wielkopolskich!

Rosyjski projekt

w sprawie Macedonii

wedle doniesień z Petersburga obejmuje następujące punkty: Generalny dotychczasowy inspektorat trzech wilajetów będzie utrzymany póty, póki za zezwoleniem sułtana będzie pobierany 3 procentowy dodatek celny. Generalny inspektor przedtem nie będzie usunięty. Reprezentanci Francyi, Anglii, Niemiec i Włoch w komisyi skarbowej w sprawie ogólnej kontroli będą mieli te same prawa, jakie przysługują agentom cywilnym Rosyi i Austro-Węgier. Generalny kierownik organizacyi żandarmeryi w kwestyach administracyjnych bierze udział w posiedzeniach komisyi skarbowej z głosem doradczym. Członkowie komisyi skarbowej, agenci cywilni, jakoteż pomocnik generalnego kierownika organizacyi, żandarmeryi, mogą być przyjęci do służby tureckiej. Wypracowany przez mocarstwa projekt reformy sprawiedliwości, zostanie w całej pełni polecony Turcyi do przyjęcia, przyczem kontrola sądownictwa przeniesioną zostaje na komisyę skarbową, składającą się z delegatów sześciu mocarstw, którzy wstąpili do służby tureckiej. Pod kierownictwem oficerów europejskich żandarmeryi będą uregulowane stosunki ludności wiejskiej, celem zabezpieczenia jej spokoju. Żandarmerya będzie pomnożoną, o ile na to pozwoli budżet Macedonii.

Na projekt ten, jak wiadomo, potrzeba zgody Austro-Węgier.

Nie wolno zapominać.

Dzięki silnym duchom, które po upadku powstania styczniowego, wśród ogólnego rozprzężenia, zniechęcenia i zanikającej wiary w przyszłość polskiego narodu, nie chciały rezygnować, lecz z prawdziwem poświęceniem podjęły się ciężkiej, żmudnej i ofiarnej pracy nad odrodzeniem ducha narodowego — poczyna się we wszystkich dzielnicach Polski pogłębiać samowiedza solidarności narodowej.

Egoizm partykularny, dzielnicowy ustępuje przed silnym prądem wskrzeszonej idei narodowej, która przenikając coraz szersze warstwy ludu polskiego demokratyzuje całe społeczeństwo a galwanizując je równocześnie we wszystkich trzech zaborach, budzi i umacnia ducha, wlewa nowe ożywcze tchnienia w nadwątlony organizm i każe mu żyć i pracować, skupiać się i walczyć o przyszłą wolność — wszystkich.

To budzące się poczucie solidaryzmu narodowego sprawia, że radość jednej dzielnicy staje się radością jej siostrzyc, a ból i cierpienie jednej tylko cząstki narodu znajduje żywe odczucie we wszystkich zakątkach dawnej polskiej ziemi.

Nasz kraj szczęśliwszym był od innych dzielnic. Konstytucyjne życie od lat dziesiątków dało nam wolność myśli, słowa i czynów, a jeżeli ze wstydem wyznać nam dziś przychodzi, że nie odpowiednio użyliśmy czasu i środków do naszego rozwoju — to tylko siebie samych o to winić możemy. Względna wolność zewnętrzna wytworzyła u nas niewolę ducha. Jest to zresztą faktem historycznym, że Polak w pokoju zawsze gnuśniał; naród rycerski wymagał ciągłej walki i tylko w ciągłem zmaganiu się z wrogiem i przeciwieństwami znajdować umiał nowe siły i postęp. Spokojnej, rozwojowej pracy nie rozumiał. I dlatego do niedawna jeszcze patryotyzm nasz zbyt często tylko w hucznych wiwatach i hasłach się na zewnątrz ujawniał. Realnej, cichej pracy prawie nie było. Żyło się z dziś na jutro.

Na ciche jęki i bóle, na szamotanie się i zaciętą walkę za kordonami byliśmy niemal głusi. Oportunizm zagarniał nas bezwiednie w sieci kwietyzmu.

Z zachodu i północy, gdzie burze nad głowami naszych serdecznych braci coraz sroższe szalały, patrzano na nas ze zdziwieniem i... zgrozą. — Nasz olbrzym — lud nierozumiał jeszcze idei narodowej; nie miał szerszych, szlachetniejszych pragnień, widniejszych horyzontów, przygniatały go: bieda, kastowe uprzedzenie i demagogia samozwańczych przewódców.

Lecz dusza jego spowita w mrokach nieświadomości obudzić się wreszcie musiała, bo on był cząstką całości żywej walczącej Polski w Poznańskiem i w Królestwie. Gdy zaś w społecznej, tak samo i w narodowej pracy nic marnie nie ginie, więc i wytężona praca narodu polskiego wszczęta za granicami naszego kraju musiała kiedyś wydać owoce, przykładem swym pociągnąć i nas do współpracy.

Czekano tylko hasła. I padło hasło z Zachodu, jak grom silne i jak bat pruskiego nauczyciela bolesne, a padło hasło głośne poraz pierwszy we Wrześni i odtąd myśmy ożyli i staliśmy się czuli na każdy nowy jęk, na

---

1

H. SMYTH.

STRASZNA GOSPODA

Powieść z angielskiego

I.

Pod „Wypoczynkiem woźnicy".

Często napotykamy na świecie budowle i ludzi, których wieku niepodobna oznaczyć choćby w przybliżeniu. Jedne skazówki podają naprzykład wiek 30 do 40 letni, inne znowu każą domyślać się u nich zgrzybiałej już starości.

Do rzędu takich budynków należała bezsprzecznie gospoda, do której wieczorem burzliwego nader dnia marcowego, zajechał adwokat mr. Laurence Dove. Jak daleko sięgała pamięć najstarszego mieszkańca we wsi, gospoda ta wyglądała zawsze tak samo, jak ją dziś widzimy; te same ciężkie, zwieszające się gzymsy nad oknami, te wysterczające naprzód rynny na dachu i te same niskie wrota kamienne, stanowiły u niej od dawien dawna znaki charakterystyczne.

Co więcej, zdawało się, że wiecznie te same konie stały wyprzężone przed bramą i leniwie gryzły siano z worków przewieszonych im na szyi, w szynkowni u wielkiego stołu siedzieli ci sami woźnice przy pełnych szklankach piwa — ten sam stróż stajenny ćmił swą fajeczkę pod bramą, i ten sam pies stary spał wyciągnięty na progu.

Rzadko kiedy, nawet w doroczne dnie targowe, było tam więcej życia i ruchu; zresztą panowała zawsze głęboka i senna cisza, z wyjątkiem chyba zimy, gdy wichry hulały sobie swobodnie i niemiłosiernie targały spruchniałym już szyldem, okiennicami i drzwiami, lub dzikie wywodziły śpiewy w pustych kominach.

I owego wieczora, gdy mr. Laurence Dove zajechał do gospody, wicher odgrywał tu główną rolę. Przez cały dzień miniony srożył się on i szalał bez wypoczynku i zdaniem każdego chyba człowieka, któremu chodziło o śmierć lub życie, mógł odważyć się na podjęcie podróży dnia tego, tembardziej, że ku wieczorowi burza wzrastała, a ciemności nocy rychło pokryły ziemię. Zdawałoby się tedy, że ów mr. Dove jest człowiekiem wielkiej odwagi cywilnej i rezygnacyi... Średniego wzrostu, chudy i na wysokich nogach, gdy szedł, z daleka sądzić było można, że to jaki ptak przedpotopowy. Oblicze miał niby wypłowiałe, a ręce żółte jak nogi u kaczki. Mimo to jednak rysy jego nie były wcale do pogardzenia, oczy miał wesołe i iskrzące, nos proporcyonalny a usta dobrze wycięte, choć wargi były nieco za wysokie i zapewne wskutek tego ściągały się często do uśmiechu bez przyczyny.

Popołudniu tego samego dnia marcowego 1848 roku, siedział mr. Dove spokojnie i popijał zwolna herbatę, gdy nagle otrzymał jakiś list, który go zmusił do wyruszenia w drogę.

Prośby i zaklęcia starej klucznicy, złowróżbne wycie wiatru, ulewny deszcz wstrząsający szybami okien — słowem nic nie zdołało go powstrzymać i odstraszyć od podróży, i tak otulony płaszczem, długie godziny trząsł się po nierównym gościńcu, aż w końcu znużony, zmoczony i zziębnięty zdążył do gospody pod „Wypoczynkiem woźnicy".

Minęła chwila, zanim leniwy stróż stajenny zdecydował się wyjść na dwór i otworzyć przybyłym bramę, w końcu lichy ekwipaż zatoczył się na puste podwórze, a Laurence Dove co żywo zeskoczył z siedzenia i pobiegł do izby jadalnej, by wypić szklankę gorącego grogu.

— Czy sir Feliks Chauntry jest już tutaj? — zapytał nadchodzącą mierzonym krokiem gospodynię, kobietę, nawiasem mówiąc przystojną, i wyglądającą niewięcej jak na 22 lub 23 lata, choć w rzeczywistości już ich 35 liczyła.

Nazwisko, które wymówił adwokat, podziałało jak talizman czarodziejski. Oczy gospodyni rozjaśniły się natychmiast.

— Nie, sir — odrzekła uprzejmie — ale właśnie przed chwilą był tu jeden z jego służących, i powiedział byś pan skoro przyjedziesz, zechciał tu poczekać łaskawie.

— W takim razie proszę o pokój.

Za kilka chwil zaprowadzono go do gościnnego pokoju, który mimo białych firanek, czystej pościeli na łóżku, dywanu na podłodze i średniego umeblowania niekoniecznie przyjemne czynił wrażenie na podróżnych.

Podczas gdy mr. Dove przebierał zmoczone suknie, garson stał u drzwi i czekał zlecenia co się tyczy wieczerzy, które otrzymawszy, wsunął serwetę pod ramię i zbiegł szybko po starych chwiejących się schodach.

Choć mr. Laurence głodny był niezmiernie, nie mógł jednak zjeść rychło wieczerzy, bo za chwilę wrócił garson z jakimś panem.

Przybyły rozkazał odejść natychmiast garsonowi, sam zaś zamknął za nim drzwi a potem postąpił do adwokata, pochwycił go przyjacielsko za rękę i uściskał ją z protekcyjną miną zdradzającą, że przybyły w przekonaniu swem chciał być bardzo uprzejmym i łaskawym.

— Jesteś bardzo punktualnym panie Dove — zaczął siadając niedbale na poblizkie krzesło — to mnie cieszy. Sprawy moje doszły już do kryzys stanowczej, a pragnę byś mi pan pomógł do wybrnięcia z kłopotliwego położenia.

— O sir Tracy... — zawołał adwokat, chyląc głowę z szacunkiem.

— Cicho! — zawołał przybyły chmurząc czoło — czy masz pan tak krótką pamięć?

— Ach, chciałem powiedzieć, sir Feliks Chauntry. Bądź pan pewny, że uczynię wszystko, co tylko w mej mocy. Przedewszystkiem oświeć mię pan jak sprawy stoją, a ja następnie odpowiem o ile mogę mu być pomocnym.

Sir Feliks powstał, otworzył drzwi i badawczo oglądał korytarz, czy kto przypadkiem nie podsłuchuje.

— Nie, nikogo tu nie ma — rzekł zamykając drzwi napowrót.

Mylił się jednak, bo nie zauważał był, że w ciemnym kurytarza kącie stała chuda postać ciekawego i przebiegłego właściciela gospody pod „Wypoczynkiem woźnicy".

(C. d. n.)

każdą nową zbrodnię na naszej braci popełnioną. A tych zbrodni moc wielka i wciąż nowe się mnożą.

Więc trzeba wciąż o nich mówić i wciąż je przypominać; jak Kościół corocznie straszną mękę Chrystusa przypomina na to, by w duszach budzić żarliwość i umacniać je w dobrem.

A przypominać trzeba ciągle, bo gdy tam w nieustannej trwają walce, w cierpieniu wyrabiają stalowe charaktery i gotują mężne hufce zbrojne w zasoby zaciętego patryotyzmu i potężnej siły ekonomicznej do przyszłej walki, o wspólną Ojczyznę i do odwetu, — to i nam nie wolno zażywać spokoju, lecz zawsze i wszędzie musimy mieć w pamięci ich katusze, razem z nimi cierpieć i jeszcze usilniej od nich pracować nad przyśpieszeniem chwili wyzwolenia.

Nam więcej niż tamtym losy udzieliły — to i więcej obowiązków narodowych na naszych spoczywa barkach. Nie my od nich uczyć się powinniśmy, ale oni w naszej pracy, rozwoju i sile powinni szukać ukojenia i otuchy w chwilach zbyt rozpacznych.

Dlatego, choć tyle już pisano o krzywdach naszego narodu pod zaborem pruskim, nigdy za wiele o nich pisać i mówić nie można, — przeciwnie należy stale, codziennie przeglądać w duszy kartki dziejów tego nowożytnego barbarzyństwa państwa „bojaźni Bożej“, pastwiącego się po krzyżacku nad uciemiężonym ludem polskim w Poznańskiem i rozpamiętywaniem męczeństwa budzić tych co śpią, by czuwali.

O krzywdach Ojczyzny nie wolno zapominać.

Prawdzic.

W odpowiedzi oszczercom

Od p. Marescha otrzymujemy następujące pismo:

Skutkiem pojawienia się w „Gońcu Polskim“ z dnia 27-go marca b. r. artykułu pod napisem „Karyerowicz“, skierowanego przeciw moim przekonaniom politycznym i zarzucającego mi nieuczciwość polityczną, zwracam się do Szanownej Redakcyi, która w dobrej wierze padła ofiarą haniebnej mistyfikacyi wyborczej, z prośbą o łaskawe zamieszczenie w łamach „Gońca Polskiego“ następującego oświadczenia:

Do udziału w pracach przedwyborczych komitetu dzielnicy drugiej zostałem zaproszony przez osoby dotychczas osobiście przeważnie mi nieznane, gdyż nawet p. Soleskiego, przewodniczącego tegoż komitetu właśnie w tym jego charakterze dopiero poznałem. Nie jest tedy prawdą, jakobym ja komitet dzielnicy drugiej dla łatwiejszego uzyskania mandatu powołał do życia, tembardziej, że w pracach tegoż komitetu brałem tylko słaby udział.

Zaproszony przez komitet do współudziału w zestawieniu listy kandydatów, byłem stanowczo przeciwnym umieszczeniu nazwiska posła Breitera na liście dzielnicy drugiej i przy głosowaniu jawnem, ustnem, większością przeciw czterem, przezedł komitet nad kandydaturą p. Breitera do porządku dziennego. Fakt ten został zanotowanym w protokole posiedzeń komitetu, będącego w ręku ówczesnego sekretarza p. Wiktora Chajesa i każdej chwili stwierdzonym być może oświadczeniem wiarygodnych świadków.

Uchwała ta jednak nie dała spocząć tym kandydatom do Rady, którzy starali się przekonać członków komitetu, iż ich kandydatura przez tę uchwałę zostanie osłabioną, gdyż rzekomo zwolennicy posła Breitera, na listę drugiej dzielnicy głosować nie będą.

To też korzystając z mej nieobecności na niedzielnem posiedzeniu komitetu, któremu przewodniczył p. Soleski, zreasumowano nielegalnie uchwałę, uprzednio legalnie powziętą i uchwalono przyjąć posła Breitera na listę kandydatów dzielnicy drugiej.

Wobec tej uchwały, nie pozostało nic innego, jak wystąpić z komitetu, co też uczyniłem, wydając równocześnie dla tych wyborców, którzyby byli tego samego co i ja przekonania, osobną listę dzielnicy drugiej.

Tendencyjnie wręcz przeciwne przedstawienie powyższego faktu, uważać mam wszelkie dane za akt nizkiej zemsty, iż starałem się macherstwu pokrzyżować plany i każdej chwili, skoro Szanowna Redakcya uzna to za potrzebne, przedłożę dowody i przedstawię wiarygodnych świadków.

Z Wiednia.

Z komisyi budżetowej.

Z kolei obrad nad budżetem ministerstwa oświaty, przystąpiono do sprawy, która miała być „clou“ posiedzenia, do sprawy uniwersytetu lwowskiego i założenia nowego uniwersytetu ruskiego. P. Romańczuk ubolewając nad rzekomem upośledzeniem Rusinów w Galicyi pod względem szkolnictwa, przystąpił do szczegółowego omówienia sprawy uniwersytetu ruskiego, domagając się jego utworzenia jak najprędzej, gdyż kwestya ta musi być wpierw załatwioną przed spełnieniem żądań innych narodów w Austryi. Mowca domagał się kreowania brakujących katedr ruskich i oddzielenia ich od uniwersytetu lwowskiego z nadaniem im osobnej organizacyi.

P. Głąbiński oświadczył się wprawdzie za pomnożeniem istniejących szkół wyższych, z drugiej znów strony zauważył bardzo słusznie mowca, by przez to nie doznało ograniczenia wyposażenie dziś egzystujących uniwersytetów, którym brak bardzo wiele, a które od długiego szeregu lat oczekują doraźnej pomocy, i wskutek tego, nie mogą w żaden sposób stanąć na wysokości zadań dzisiejszych potrzeb.

1) Słuchacze lwowskiej techniki, z powodu braku wielu kursów na niej, zmuszeni są po absolutoryum wyjeżdżać do Niemiec, dla uzupełnienia swych studyów,

2) uniwersytet polski we Lwowie, posiada budynek tak nędzny, jak żaden inny — instytuty i kliniki lwowskie dotąd nie utworzone,

3) niespełnione uposażenia laboratoryów techniki lwowskiej, oraz ich niedotowanie.

Te wszystkie żądania muszą być przed utworzeniem nowych szkół wyższych, bezwarunkowo załatwione. — A muszą być tembardziej załatwione, że odnoszą się wszystkie do 3 polskich szkół wyższych. Szkoły te założono w czasie potęgi Królestwa Polskiego, przez polskich monarchów, są własnością naszą, naszej kultury, nikt nam ich nie udzielał, nikt ich nie tworzył z łaski.

Jeżeli zatem inne narody, w kulturze znacznie pozostały w tyle, żądają stworzenia dla nich nowych uniwersytetów, niech przedewszystkiem skromne żądania polskie, tyczące się tylko uposażenia istniejących od wieków szkół wyższych, najpierw zaspokojonemi zostaną!

Mowca podniósł z uznaniem kwestyę założenia czeskiego uniwersytetu w Bernie morawskiem, postawioną przez p. Kramarza, zapewniając, iż Polacy za nią głosować będą, również nazywa słusznem p. Głąbiński żądanie Rusinów. Natomiast z całą stanowczością odpiera nadawanie przez nich uniwersytetowi lwowskiemu charakteru ruskiego. Jeżeli zaś Rusini chcą osiągnąć tak daleko idące swe żądania, to muszą postępować w porozumieniu z Polakami, bez wzajemnego porozumienia będzie pomyślne spełnienie kwestyi ruskiej bardzo problematycznem.

P. Wassilko opierając się na tem, że na uniwersytecie lwowskim znajduja się także katedry ruskie, zapeczał istnieniu jego charakteru czysto polskiego, co dopiero wtenczas mogłoby mieć miejsce, gdyby oddzielono wedle żądania Rusinów katedry ruskie, i nadano im odrębną organizacyę. Co się zaś tego tyczy, to organizacya katedr ruskich uniwersyteckich, nowopowstała, czyli samoistny uniwersytet ruski musi powstać tylko we Lwowie dla zaznaczenia utrakwizacyi miasta Lwowa.

Poseł apelował do ministra oświaty i prezydenta gabinetu pod adresem rządu, by kwestyi uniwersytetu lwowskiego we Lwowie (a więc już nie w Lublanie ani w Czerniowcach, jak chcieli Rusini pierwotnie) nie przewlekano, gdyż w razie ponownego rozczarowania naród ruski takiego lekceważenia i rozczarowania spokojnie nie przyjmie.

W dalszym ciągu w generalnem resumé postawionych żądań odpowiedział minister oświaty Marchet, że rząd rozpatrzy sprawę utworzenia nowego uniwersytetu ruskiego przy porozumieniu się interesowanych w tem stronnictw. Wszelkie warunki będą uwzględnione, jakoteż kreowanie nowych katedr i instytutów.

Prawo promocyi na Akademiach weterynaryi we Wiedniu i Lwowie zaprowadzonem będzie w r. szkolnym 1908/9. Dalej, zanim utwarzać się będzie nowe wydziały fachowe, wpierw zwrócić należy uwagę, by już istniejące pod względem nowoczesnych wymagań należycie udotowane zostały.

W głosowaniu uchwalono rozdział budżetu: „zarząd centralny ministerstwa oświaty i szkoły wyższe“. Następne posiedzenie odbędzie się nad budżetem ministerstwa sprawiedliwości.

Truciciele młodzieży.

Od pewnego czasu zjawiają się w naszej redakcyi ojcowie rodzin, głównie ze sfer uboższych, skarżąc się, że ich małoletni synowie coraz więcej bywają wciągani w sieci organizacyi socyalistycznych, gdzie się demoralizują i z poczciwych chłopców zamieniają mimo młodego wieku w dojrzałe o zbrodniczych instynktach indywidua.

Jedna z matek pisze nam:

Czyż na to czuwałam nad moim synem do 14 roku życia, wpajałam w niego zasady religii i uczciwości, aby teraz stronnictwo, mieniące się politycznem, wyrywało mu to wszystko z duszy, wmawiało w niego, że Bóg to mrzonka, a kto silniejszy ten jest i uczciwszy? Proszę sobie wyobrazić, jak drżę teraz o los tego chłopca, jak smutne mam przed oczyma horoskopy co do jego przyszłości! Czyż na to niema rady? Czyż ten tylko popełnia czyn karygodny, kto wprost do kradzieży nakłania, a nie i ten, kto wmawia w młody umysł, że uczciwość i cnota nie obowiązują w życiu, że każdy środek jest dobry, gdy chodzi o osiągnięcie choćby najniegodziwszego celu.

Jeden z ojców ze łzami w oczach opowiadał nam, jak pragnął syna wychować na uczciwego rękodzielnika, w nadziei, że przy nim na stare lata przytułek znajdzie, a tymczasem dziś już ten syn, mając zaledwie 15 lat, na ojca podnosi rękę i wyrzuca go z domu, utrzymując, że według pojęć socyalistycznych „stary i chory dziad powinien iść do domu kalek, a nie zawadzać w domu“.

Skargi te są coraz częstsze, mianowicie odkąd socyaliści założyli we Lwowie „Stowarzyszenie młodocianych robotników“ i wciągają w nie uczni rzemieślniczych i terminatorów. Jak się tam chłopcy demoralizują i do jakich dochodzą rezultatów życiowych dość przypomnieć pisany z więzienia list jednego członka tego stowarzyszenia, który opublikowaliśmy w styczniu br. Młody ten chłopak pisał wyraźnie i upominał brata, aby niezapisywał się do „młodocianych robotników“ i niezadawał się ze socyalistami“ bo to go tylko do kryminału zaprowadzi.

Dziś po raz drugi zwracamy władzom uwagę na to siedlisko demoralizacyi młodych umysłów. Skoro władze zamykają szynki, domy rozpusty, karciarnie i inne nory, to tembardziej znieść i zamknąć tego rodzaju jaskinię, istną szkołę dla przyszłego pokolenia zbrodniarzy, w której różne Hartleby i Czaczkesy są mistrzami swej zawodowej „sztuki“!

Zmieniają się czasy!

Dotychczasowe obliczenia wyniku wyborów do Rady miejskiej stwierdzają dziś już z całą stanowczością, że Hudec i Breiter padli, i nawet do ściślejszego wyboru nie staną.

Upadek Breitera niedziwi nas ani nikogo. Marny krzykacz, kiepski blagier, szuja społeczna i ordynarny szantażysta — na czyjeż on głosy mógł liczyć właściwie? Zakupił paręset legitymacyi, nadrukował list wyborczych ze swojem nazwiskiem i z nazwiskami tych przyjaciół, którzy mu do tej ekspedycyi na ratusz pomagali i wystąpił jako „poważny kandydat, gotów do kompromisu z poważnemi stronnictwami“.

Kompromisy zawiera się z różnymi, nieraz bardzo podejrzanej wartości ludźmi. Ale kompromis z Breiterem? Lada kundys ma więcej poczucia honoru, ostatni bokser chiński potrafiłby być słowniejszy od tego wyłysiałego szakala. Kompromis możnaby w najgorszym razie zawrzeć z hyclem złoczowskim, teściem Breitera, ale z samym Breiterem przenigdy!

Został się więc ze swoimi paruset głosami mimo pieniędzy, rewolweru, hyen, oszustw i szantażu. Marnie szedł, marnie zdechł.

Ale Hudec... Los tego człowieka aż zdumiewa i litość budzi. Po prostu wylano go z Rady miejskiej, jak się wylewa złodzieja, przyłapanego w przedpokoju na kradzieży kaloszy lub parasola.

Hudec w Radzie zasiadał przez 6 lat. Nie zrobił tam nic, zepsuł dużo, a terroryzował wszystkich, wprowadzając zawsze na galeryę Rady bandę klakierów, ile razy miał przemawiać. Był czas, że Radzie imponowały te owacye. Aż poznali się na nędznym komedyancie, który sam sobie kupował liście bobkowe. Ale bano się go, bo miał i ma dziennik w ręku, w którym gnoił każdego, ktoby mu się postawił. Więc choć „Goniec“ krzyczał: wyrzućcie złodzieja! — cierpiano go w Radzie, bo nikt się niechciał podjąć wyniesienia z Rady tego... cuchnącego naczynia nieczystości.

Ale ostatnie wybory były doskonałą okazyą do pozbycia się tak cuchnącego „kolegi“. Kompromis z partyą mieszczańską, na jaki Hudec liczył, zawiódł fatalnie. Mieszczanie uznają, że robotnikom należy się głos w Radzie, ale nie godzą się nato, aby robotnicy byli reprezentowani przez takiego... Hudeca!

Toteż hasło, rzucone przez „Gońca“ aby kreślić złodzieja — odniosło piramidalny skutek.

I oto stajemy wobec faktu, który nazwać można niesłychanym: socyaliści zdobywający ustawicznie coraz to nowe placówki, poczynają nagle tracić stare, dawno zdobyte i silnie utrwalone pozycye. To jest w stosunkach, jakie dotychczas u nas panowały, czemś nadzwyczajnem i zdumiewającem.

Gdyśmy wystąpili przeciw kandydaturze Hudeca do Rady miejskiej, z licznych stron zwracano nam uwagę, że lepiej byłoby dla „Gońca“ niewystępować przeciw Hudecowi na terenie, którego mu żadna siła odebrać nie zdoła. Przyznajemy sami, że pisaliśmy odnośne artykuły bez nadziei zwycięstwa. To też sukces, jaki one odniosły, przejmuje nas dobrą otuchą na przyszłość.

Pracując powoli, wytrwale i nieustraszenie, doprowadzimy z czasem do tego, że socyaliści poza granicami kraju żeru dla siebie szukać będą musieli. Tu go im niebawem zabraknie. Czasy — da Bóg — zmienią się na lepsze. One już się zmieniają.

Lwowski przemysł.

— Czy można przyjąć ten inserat, panie redaktorze? — pyta się przed paru dniami panna z administracyi.

— Cóż to za inserat? „Biedny, nieszczęśliwy kaleka, który co tylko wyszedł ze szpitala, ojciec pięciorga nieletnich dzieci, prosi litościwe osoby o wsparcie lub o jakie zajęcie. Stroi doskonale fortepiany i naprawia zegagary“. Co pani w tym inseracie widzi złego? Apeluje do dobroczynności publicznej, ale szuka przytem pracy...

— On pisze tu, że kaleka, a to chłop jak piec.

— Owa! Można byczo wyglądać a jednak nie być tem, naco się patrzy. Zresztą przyślij pani tego jegomościa do mnie, niech ja z nim pogadam.

Za chwilę wszedł chłop, rzeczywiście podobny do pieca, o chytrem spojrzeniu, ale na ogół robiący korzystne, solidne wrażenie.

— Pan redaktor] kazał mi przyjść do siebie?

— Ja niekazałem, ja prosiłem tylko, aby pan był tak łaskaw pofatygować się do mnie. Niech pan siada.

Gość spojrzał na mnie z podełba i siadł na krawędzi krzesła, które zatrzeszczalo pod jego ciężarem.

— Czy to pański osobisty inserat, czy też nadaje go pan dla jakiej drugiej osoby?

— Nie... to mój... własny — rzekł gość po krótkiej walce ze sobą.

— Kiedy pan wcale na kalekę nie wygląda — zajeżdżam go obcesowo.

— Ta niby nie, ale wierz mi pan, że dziś inaczej człowiek niewyżyje. Trzeba robić ze siebie waryata, bo inaczej aus i kaput!

Widziałem, że mam przed sobą coś, co się w medycynie nazywa „interesującym wypadkiem“ i począłem mego gościa ciągnąć za język.

— Czemuż pan, zamiast dobrych ludzi prosić o pomoc, niezgłosi się do jakiego składu fortepianów za stroiciela, albo do zegarmistrza? Oba te fachy są dziś bardzo poszukiwane.

— Kiedy ja tyle się rozumiem na fortepianie i na zegarach, co kawka na elektryce. Ale widzi pan... trzeba tak inserować, bo inaczej nikt mi niepomoże. Pan może myśli, że publika lwowska ma jakie serce albo litość? Cholera na wszystkich lwowskich dobrodziei! Taki bojar dziadowi centa daje na ulicy, a myśli przytem, jakby go obedrzeć. Bo przecie jeźli daje, to dlatego, aby przed Panem Bogiem mieć zasługę a tu za litościwą osobę uchodzić. Ja wiem, bo ja stał dawniej pod kościołem św. Mikołaja. Niejedna wetknęła mi centa i za kopę dusz modlić się kazała. Pan Bóg niegłupi, szczęście wiekuiste tak tanio sprzedawać. A jak taka makarela zacznie się macać po spódnicy, a kieszeni szukać, a nim portmonetkę wyciągnie a z niej jakiegoś dziada wygrzebie... strach, co ona czasu na to potrzebuje, a ty miaukaj tymczasem wciaż i o miłosierdzie proś... pfuj! mówię panu, że obrzydliwości dostać można.

— A dużo się tak dziennie uzbierało tego miłosierdzia w brzęczącej gotówce?

— Czasem i parę koron, ale co z tego, kiedy człowiek za te pieniądze tyle się nabłogosławić i nadziękować musiał, jakby to były tysiące. Widziałem więc, że mnie litościwe osoby wyzyskują, i teraz piszę się stroicielem fortepianów i zegarmistrzem. Niech pan nie myśli, że kto ten inserat czyta, tego moja bieda wzruszy. Dyabła tam... Taki drań burżuaza myśli zaraz o tem, że skoro ja dziad, a stroję fortepiany i zegary, to będzie interes, bo ja mu pewnie w mojej biedzie fortepian albo zegar za szóstkę narychtuję. I żeby pan wiedział, co ja mam klientów! Dlatego właśnie, żem dziad, i że będzie można mnie wyzyskać.

— Ale przecie pan musi do roboty koło fortepianu się zabrać?

— Naturalnie! naturalnie! Zgłosi się taki złodziej do mnie, abym mu przyszedł fortepian nastroić, to mu obiecuję, że zaraz przyjdę, ale na tramwaj, niech da, bo nogi mam spuchnięte. I jest już jedna szóstka. Potem, jak niedaleko mieszka, to dyrdam do niego z taką torbą, w której niby to są narzędzia, oglądnę fortepian albo zegar, i mówię, że da się naprawić, ale trzeba dwie szóstki na oliwę i na mutterszraubę, bo pęknięta, a on zaraz je daje, i potem tyle mnie widzi... Pan się krzywi, a ja panu mówię, że to nie grzech żaden takiego hycla wykiwać. Nieraz zegar jest taki pogruchotany, że ino czerepy są w nim, a ja go mam za dwie szóstki rychtować. Wczoraj dopiero jakieś panny były u mnie, że mamusia prosi, bo fortepian niechce grać. Na tramwaj dały szelmy 3 centy, bo jedna sekcya była do nich.

Poszedłem mimo to, bo myślę sobie: młode juchy, to i głupie muszą być i dadzą się naciągnąć na koronę albo dwie. Pokazują mi fortepian, a tam ani jednej struny niema, bo je braciszek het powycinał na łuki dla siebie i dla kolegów.

Chcieć struny pokupić, to sam taki interes kosztowałby ze trzydzieści koron, ale ja breszę do matki, że za trzy korony fortepian na glanc im sprawię, a to ścierwo mi się pyta, czy za siedm szóstek nie zrobię! Wytargowałem się na ośm, wziąłem dwie szóstki zadatku, z czego mi trzy centy za tramwaj potrąciła, i niech teraz babę jasny szlag trafi!

Waryat z mokrą głową.

Działo się przedwczoraj wieczór.

Dzwonek jęczy. Redaktor biegnie do telefonu.

— Halo?

— Halo! Tu dr. Bronisław Ostaszewski, adwokat krajowy i zastępca prawny przewielebnego księdza prałata Zygmunta Gorazdowskiego.

— Bardzo przyjemnie... Tu redaktor „Gońca“.

— Przedewszystkiem dziękuję panom za wzmiankę o mnie we wczorajszem „Gońcu“.

— To drobnostka. My raczej przeprosić powinniśmy pana mecenasa, że wzmianka była tak krótka i skromna. Pan mecenas zasłużył na obszerniejszą. A zresztą czem możemy służyć?

— Donoszę panom, że w imieniu mego klienta ks. Gorazdowskiego wnoszę przeciw panom skargę o naruszenie praw autorskich.

— Zgroza... I cóżeśmy to takiego naruszyli księdzu Gorazdowskiemu?

— Panowie niemacie wogóle prawa wydawać jakiegobądź „Gońca“.

— Zgroza... I dlaczegóż to tak?

— A bo tak! Co powiedziawszy, mam zaszczyt kreślić się panów uniżonym sługą...

Trzy razy dzwonek...

*

Ks. Gorazdowski zabrania nam zatem wydawania wogóle jakiegobądź „Gońca“. Twierdzi, że „Goniec Polski“, to jego wymysł, to płód jego mózgu, to jego własność autorska.

Tu kończy się dramat, a poczyna wodewil. Irytacya przechodzi w śmiech i w nerwową wesołość. Ks. Gorazdowski praojcem i praautorem „Gońca“! Z tego samego tytułu mógłby pies uważać się za protoplastę księżyca, bo do niego po nocach wyje.

Ks. Gorazdowski od pewnego czasu stał się we Lwowie uliczną figurą. Zaniedbuje kościół, nabożeństwo, parafię— a jeździ cały dzień po sądach, goni po ratuszu i alarmuje policyę piętnaście razy dziennie. Władze unikają go już jak zarazy, szefowie biur kryją się przed nim jak przed nieszczęściem, jak przed nieuleczalnym maniakiem.

A on w towarzystwie panny Meisner i osławionego Thumena od rana do nocy uwija się po mieście, skandalizuje się i kompromituje, a nietylko siebie, bo i cały stan kapłański na pośmiewisko naraża, zgorszenie wszędzie wywołuje.

A propos Thumena... Otrzymaliśmy drugi okólnik, podpisany przez kilkanaście pierwszorzędnych firm lwowskich, w którym firmy te piętnują Thumena jako najgorszego gatunku oszusta i bezczelnego wyzyskiwacza.

Ale trzeba też i widzieć tę straszną kreaturę, o zbrodniczej fizyognomii, o głęboko zapadłych oczodołach, ten wspaniały lombrosowski typ rzezimieszka, jak przyczepiony do ramienia ks. Gorazdowskiego — raz on ciągnie księdza — to znów ksiądz ciągnie jego — i tak wciąż razem uganiają po Lwowie, od świtu do nocy, a ustawicznie o „Gońcu“ mówią, jakby go ukraść, jakby wszystko zagrabić dla siebie.

Ks. arcybiskup Bilczewski, o ile nam wiadomo, bawi obecnie na rekollekcyach. Ale gdy z nich powróci, jest jego obowiązkiem, wziąć ks. Gorazdowskiego w kuratelę i niedopuszczać do dalszych skandalów. Dość powiedzieć, że mimo sądowego zakazu ksiądz Gorazdowski w sobotę popołudniu wdarł się przemocą do lokalu redakcyjnego przy ulicy Podwale 7, i został znowu stamtąd wyrzucony.

Czas wielki, aby się to wszystko skończyło. My wyrażamy przypuszczenie, że finał tego zatargu rozegra się w Kulparkowie.

Z Berlina.

Jak wiadomo wniosło Koło polskie w parlamencie niemieckim rezolucyę, domagającą się wstawienia do budżetu państwowego na rok 1909 odpowiedniego kredytu na pokrycie kosztów badania stosunków politycznych ludności polskiej w państwie niemieckiem.

Przy głosowaniu nad tą rezolucyą 158 głosów oświadczyło się za — a 148 przeciw rezolucyi. Dwie kartki oddano próżne.

Dzienniki hakatystyczne z ogromną wrzawą przyjęły rezultat tego głosowania. Twierdzą z wielkiem rozgoryczeniem, że rezolucya ta była zupełnie niepotrzebną, a przyjęcie jej dowodzi — że blok niemiecki nie jest dość silny, kiedy padły za nią także głosy niektórych członków bloku.

Nadto dzienniki rządowe zapewniają, że Rada związkowa odrzuci tę rezolucyę.

Nie ulega jednak najmniejszej wątpliwości, że uchwalenie tej rezolucyi jest porażką rządu i nie dobrze mu wróży o głosowaniu nad ustawą o stowarzyszeniach.

*

W pruskiej izbie panów podczas obrad nad budżetem na rok 1908 mówił wczoraj poseł Kościelski:

„Imieniem moich przyjaciół politycznych — rzekł — oświadczam, że tym razem głosować będziemy przeciw budżetowi.

Jakkolwiek już od lat wielu cierpieliśmy skutkiem ustaw wyjątkowych, to jednak mniemaliśmy mimo finansowych wątpliwości, że trzeba dać cesarzowi, co jest cesarskiego. Obecnie jednak uchwalona niedawno ostatnia ustawa, przeciw nam zwrócona, zmusza nas do zmiany postawy. Na pytanie, czy chcemy pracować dla dobra państwa, czy też nie, odpowiem głośnem, tak“.

Lecz nie mamy ochoty brać udziału w takich akrobatycznych sztukach, jak przedłożenie o wywłaszczeniu, które w drodze podatku nadzwyczajnie nadwyręża mieszki obywateli. Jak świadczy nasza cała przeszłość, nie jesteśmy wrogami państwa, ale jesteśmy — otwarcie to mówię — nieprzyjaciółmi rządu. Obojętność kanclerza Rzeszy wobec opinii zagranicy, można porównać z obojętnością człowieka, któremu już wcale nie zależy na tem, aby u współczesnych zachować sobie dobrą opinię. Do ministra skarbu, który nas nie zna, wołamy: „Du kennst den Geist, den du begreifst, nicht mich“. (Wesołość).

„Posener Neueste Nachrichten“, jedyny dziennik, który w wysokim stopniu strzegł honoru niemieckości na Wschodzie, porównał czyn rządu z zachowaniem się gracza, który wszystko na jedną kartę postawił, w nadziei wygranej. W parlamencie niemieckim przyjęto wczoraj rezolucyę, w myśl której ma być przez czynniki z łona Rzeszy przedsięwzięte zbadanie stosunków na kresach wschodnich. Że prawica była przeciwną temu, wynika to stąd, iż ma poczucie czegoś zepsutego, rozkładowego państwie.

Już prorok Habakuk narzekał, że ludy wyruszają na zdobywanie krajów, które do nich nie należą. Nie chcę dalej snuć tych skarg, aby proroka Habakuka nie przywoływano dodatkowo do porządku. (Wesołość).

Przed naszymi łanami, polami stoi kat, aby nas wypędzać, stoi u drzwi. Kończę słowami: Wołajcie, by kat wszedł do wnętrza.

Minister skarbu Rheinbaben mówił: Ton mowy Kościelskiego zmusza mnie do odpowiedzi, że takie słowa, możemy tylko z największem oburzeniem odeprzeć. Chcemy czekać, kto wygra. Rząd postawił wysoką stawkę i to nietylko finansową, całą swą powagę postawił na kartę. Lecz wzmocnienie i utrzymanie niemieckości na wschodzie, warte jest tak wielkiej stawki, chcemy bowiem utrzymać naszą posiadłość po wszystkie czasy i dlatego chwyciliśmy się takich środków. (Oklaski).

Tak bezczelną odpowiedź mogło wypluć tylko gardło krzyżackie.

Z blizka i z daleka.

(Konający skazany na szubienicę. — Tragedya rodzinna. — Studenci mordercami. — Mowa pożegnalna pułkownika).

„Corriere della Sera“ przynosi wiadomość z Waszyngtonu, która powszechnie budzi niebywałą senzacyę. Mianowicie jeszcze w lecie z 1906 30-letni Włoch Giuseppe Paolucci zasztyletował uwiedzione przez siebie młode dziewczę. Znał się z nią już kilka lat, później pod pozorem miłości wyłudził od niej wszystkie pieniądze, okłamał i oszukał, wyzyskał do ostatniego, a na koniec wycisnąwszy jak cytrynę zamordował w podły i haniebny sposób. Sąd przysięgłych skazał mordercę na karę śmierci przez powieszenie, pomimo znakomitej obrony adwokata oskarżonego, sąd kassacyjny wyrok zatwierdził i już w krótkim czasie miano skazanego powiesić. Tymczasem ten przygnębiony skazaniem i powodowany wyrzutami sumienia, popadł w szaleństwo i chorobę nerwową. W kilka dni później już stan jego był taki, że zawołano doń księdza i lekarza, ponieważ zachodziła obawa, że umrze. Wyrok jednak wisiał. Skazanego konającego miano powiesić. Tymczasem kat skonstatował, że śmierć przez powieszenie jest niemożliwą, gdyż morderca długoby się męczył z powodu zbyt lekkiego, chorobą wyniszczonego ciała.

*

W miejscowości Lucci we Włoszech, wydarzyła się onegdaj straszna tragedya małżeńska. 27-letni kupiec Armanda Lascar, który ożenił się dopiero przed 8 dniami, zamordował żonę w przystępie nieuzasadnionej zazdrości kilkoma pchnięciami sztyletu. Morderca gonił swą ofiarę po całem mieszkaniu, w którem wszędzie znać ślady rozpaczliwej walki. Po dokonaniu strasznego czynu, sprawca przebił się sztyletem, tak, że sąsiedzi, którzy wbiegli do mieszkania, znaleźli go umierającego.

*

We wsi Tjiawi, koło Tyflisu na Kaukazie, został pewien właściciel ziemski wraz ze swą chorą matką zamordowany. W pokoju, gdzie popełniono morderstwo, pozostawili mordercy trupa jakiegoś nieznanego mężczyzny z odciętą głową. Sprawców, którymi byli

uczniowie szkół średnich, należący do partyj rewolucyjnych, aresztowano.

*

W jednym z pułków wiedeńskich stacyonowanym był pułkownik von M., który nienawidził zawsze długich oracyj; gdy chciał kiedy co powiedzieć żołnierzom zawsze zamykał swój rozkaz lub życzenie w kilku skromnych słowach, w których jednak zawsze znajdowało się, to, co powinno. W pułku tym służył on już kilkanaście lat i dzięki swemu taktownemu postępowaniu, niezmiernie był lubianym przez swoich podwładnych. Niedawno został posuniętym do wyższej rangi i równocześnie przeniesionym do innego pułku.

Należało się więc pożegnać z żołnierzami; gdy więc cały regiment zwołano w dziedzińcu koszar pułkowych, wystąpił pułkownik i już nie wedle swej zwykłej metody małomówienia, chciał dodać kilka słów więcej w pożegnaniu. „Oto nadeszła chwila... zaczął i nieskończył, bo cały pułk jednogłośnie krzyknął: „Żegnaj nam pułkowniku!“.

Z miasta.

Wiosna! niech kto chce co mówi wiosna
[jest i basta!
tego nikt już nie zaprzeczy, bo niech każ-
[dy patrzy:
niebo cudnie uśmiechnięte, słońce grzać
[już raczy,
tchem rozkosznym drżą bulwary i ulice
[miasta...

Generalny wyląg... schadzki... rendez-
[vous miłosne...
radość lśni w źrenicach wszystkich...
[w żyłach krew gra żywo...
magazyny w oblężeniu... dla modniarek
[żniwo,
wszak to wiosna... więc strój nowy
[musi być na wiosnę!...

Suknia... bucik... żakiet... halka i ume-
[blowanie
inne, co się już nie „mówi“... to jest
[rzecz na czasie,
milion weksli... czarna giełda... na kre-
[dyt! co da się
brać, bo wszak to nic nie szkodzi...
[prawda, moje panie?

Jak w kalejdoskopie barwnym obraz
[za obrazem,
przed oczyma się przesuwa tęczowy...
[świetlisty...
sny się budzą kolorowe... każdy sen
[kwiecisty
i słoneczny, tchnie miłości... słodyczy
[wyrazem.

Tyle cudów wszak z tą wiosną przy-
[pływa na duszę,
tyle budzi się radości... marzeń... drżeń
[bez granic,
żeby nieraz człek tej chwili nie oddał
[już za nic,
byle nosić w sercu słońce w blasków
[zawierusze...

Czyż nie dowód to, że wiosna za serca
[nas chwyta,
wszak pisałem wiersz, ot „z miasta“,
[taki zwykły, a tu
z piersi płynie mi liryczna fala... daj
[ją katu!
precz sentyment, niech wesele szalone
[nam wita!

Jeśli skrupuł, precz z skrupułem, śnij-
[my dzisiaj we śnie
a wiosenne niech przędziwo przędzie
[się i przędzie!
choć raz w życiu, później niech zaś, co
[Bóg da, to będzie,
dziś w płomiennym szale niech nam
[baśń wiosenna wskrześnie!

d.

Nocne życie w Paryżu.

(Do ryciny na 1 str.).

Paryż, stolica świata, musi rzetelnie pracować, aby na takie miano zasłużyć. A nie jest to łatwo, być grodem międzynarodowym, gościć w swoich murach z każdego krańca świata bodaj po parę ludzkich okazów.

Lwią zasługę tego przypisać atoli należy nocnym kawiarniom i podobnym lokalom, które stanowią niesłychaną atrakcyę, mianowicie dla egzotycznych gości Paryża. Taki obywatel z dzikich puszcz amerykańskich, jakieś afrykańskie książątko i pan na pięciuset duszach (miał ich tysiąc, ale połowie łby poucinał), Japończyk ze spokojnej jak oliwa wysepki, Indus na dżungli kontemplacyi się oddający, Australczyk wypasający owce na górskich urwiskach — wszyscy ci ludzie, gdy mają pieniądze, a chcą ich użyć, ciągną do Paryża i dorobek swój wrzucają w paszczę światowego Molocha — a paszczą tą są przedewszystkiem nocne lokale, pełne pokus, nadzwyczajności i oszałamiających zabaw.

Silą się też właściciele tych kawiarń i kabaretów na jak najoryginalniejsze pomysły. Jedni dają przedstawienia, bądź to ekcentryczne, jak sam przypatrujący się im maharadża, bądź też pieprzne i paprykowane — inni trzymają znów służbę, zebraną ze wszystkich narodowości, a głównie z murzynów, arabów i egipcyanek. Od pewnego czasu furorę robi w Paryżu pewien kabaret, w którym usługuje gościom wytresowany doskonale orangutan. Przedstawia wnętrze tego kabaretu nasza rycina. Biedne małpisko, odurzone blaskiem elektryki, muzyką, hałasem pijanych gości i kanonadą korków szampańskich, roznosi hulaszczym gościom butelki i szklanki, zbierając zato sute napiwki do umieszczonej pod brzuchem skarbonki, którą jego pan sumiennie codzień wypróżnia.

Ile w tych nocnych spelunkach tonie pieniędzy, ile łamie się egzystencyi, ile pokus do złego powstaje w słabych umysłach, o tem pisać nie trzeba. Znają wszyscy te stosunki i z lwowskiego bruku — w miniaturowem a jednak nieraz tak zastraszającem wydaniu.

KRONIKA.

Kalendarzyk:

W poniedziałek rzym.-kat. Kwiryna męcz. — gr.-kat. Ałeksija pr.

We wtorek rzym.-kat. Balbiny P. gr.-kat. Kiryła.

Repertuar teatru miejskiego (pod dyrekcyą Ludwika Hellera).

W poniedziałek „Budownicy Solnes“.

We wtorek „Lohengrin“.

We środę „Mąż idealny“.

We czwartek „Hugenoci“.

W piątek „Mąż idealny“.

W sobotę popołudniu „Kościuszko pod Racławicami“.

W sobotę wieczorem „Faust“.

MIEJSCOWA.

Choroby ócz mnożą się we Lwowie w zastraszający sposób. Oddziały okulistyczne szpitala, polikliniki i kliniki liczą dziennie po kilkadziesiąt pacyentów, drzwi zaś u okulistów się nie zamykają. Lekarze twierdzą, że od początku swej praktyki lekarskiej nie mieli żadnego roku tylu pacyentów, co obecnie.

Gorąca prośba. I to tak gorąca, jak rozpalona blacha. A wnoszą ją przez nas abonenci telegraficzni do dyrekcyi poczt, aby ta wydała już raz spis abonentów telefonicznych na rok 1908. Stary indeks jest już dobry na podpałkę.

W ubiegłym roku jedni abonenci się wściekli, niemogąc się dodzwonić do stacyi centralnej, właściciele tak zwanych „aparatów towarzyskich“ poszli na Kulparków, inni rozpili się z desperacyi albo pouciekali ze Lwowa — więc zmiany zaszły olbrzymie, a ciągle jeszcze stary spis abonentów obowiązuje i prowadzi do licznych nieporozumień.

Zawiła kwestya. Mikołaj Procajło przyprowadził na plac targowy gniadego konia, aby go sprzedać najwięcej dającemu. Jakoż trafił się niebawem kupiec, który wsiadł koniowi na grzbiet, aby wypróbować wartość szkapskich nóg. I niemusiał być z nich zadowolony, bo niewrócił więcej, ani on na szkapie, ani szkapa pod nim. Procajło, twierdzi, że ów kupiec zemknął z koniem, podczas, gdy „rzeczoznawcy“ utrzymują, że to koń uciekł z kupcem i że Procajło zato „uwiedzenie“ jeszcze odszkodowanie będzie musiał zapłacić.

Boże zbaw Prusy! Izba karna w Krotoszynie, jednego z polskich zegarmistrzów skazała na 30 marek kary za napisy na broszkach i szpilkach krawatowych „Boże zbaw Polskę“. — Jedna z gazet niemieckich miejscowych radzi wobec tego przedsiębiorcom Polakom, aby umieszczali lepiej napisy „Boże zbaw Prusy“, gdyż żaden kraj w obecnej chwili nie znajduje się w większej potrzebie błagać Boga o pomoc jak Prusy.

Z teatru. W piątek wznowiono na naszej scenie komedyę Szekspira pt. „Poskromienie złośnicy“. Mimo, że rzecz wystawiona była bez wielkich przygotowań — publiczności bardzo się podobała. Główne role wykonali znakomicie pp. Siemaszkowa i Żelazowski. W większej rólce wystąpiła p. Kwiatkiewiczowa i w epizodycznej, ale bardzo wdzięcznej p. Romanowa. Teatr był prawie zapełniony. (K)

Co to było? Po mieście chodzi następująca wersya. W ubiegły piątek późno w noc wracał pewien obywatel fiakrem na ul. Krzyżową. Koło swego domu wysiadł, jak Bóg przykazał, dostał się szczęśliwie do domu, położył się do łóżka i zasnął.

Rano przychodzi do niego z obwiniętą całkiem głową fiakier i prosi o poświadczenie, że razem z nim jechał jakiś p. L., którego nawiasem mówiąc, obywatel ów nie widział na oczy. Zdziwiony wyszedł na ulicę i zobaczył tam osadzone na bruku pudło dorożki bez żadnego koła. Jeden koń leżał obok nieżywy, a drugi uciekł. Widniała też plama krwi na bruku, skąd przed chwilą zabrała buda ratunkowa na pół nieżywego owego p. L.

Mieszkańcy tamtejsi nie słyszeli, ażeby w nocy pękła jaka bomba i szyby zresztą we wszystkich domach całe. Najdziwniejszem jest to, gdzie się podziały koła dorożki i wogóle, co to właściwie było?

Elektryczna śmieciarka, inaczej automobil do wywożenia śmieci, pokazał się nareszcie na mieście. Jest to wehikuł robiący dużo smrodu i hałasu, a dający mniej pożytku, niż się tego po nim spodziewano. I tak mieści on w sobie zaledwie 4 zwyczajne fury śmiecia, a przytem porusza się bardzo ciężko i utyka, mianowicie pod górę. Sam rezerwoar nie jest kryty i przy silnym wietrze śmieci z niego wylatują i tańczą po ulicy jak frygi. Elektryczne śmieciarki ma np. Wrocław, ale tam są to potężne wazy, mieszczące po 15 zwyczajnych fur, z rozsuwalnym spodem, tak, że opróżnia się je mechanicznie. Niechcemy jednak budzić uprzedzenia do lwowskich śmieciarek. Może i z nich będzie dla miasta pożytek i chwała.

Niemądry uciekinier. Z Brygidek zbiegła zeszłego roku kompanja złożona z siedmiu więźniów. Podjęto natychmiast obławę i sześciu niebawem znalazło się znowu w miechu, a tylko Jan Michna, butorób alias szewc, skazany na 13 lat pokuty, zemknął i ślad po nim zaginął. Aż niedawno jeden z więźniów otrzymał z Węgier widokówkę, bez podpisu wprawdzie, ale zdradzającą, że ona od Michny pochodzi. Wdrożone natychmiast dochodzenie potwierdziło ten domysł i wykazało, że Michna w kraju Arpadów zrobił wcale niezłą karyerę. Kradł i tam, co mu w ręke wpadło aż sam wpadł w ręce węgierskiej Temidy i dostał się w Debreczynie na rok do więzienia, gdzie obecnie też przebywa, poczem odstawiony zostanie do Lwowa i tu odsiedzi swoją feralną trzynastkę, plus tę pozycyę kary, na jaką zarobił ucieczką z Brygidek.

Interesujący egzamin. Czteromiesięczny kurs dla wyuczenia miejskiej służby targowej rozpoznawania zepsutych i szkodliwych zdrowiu ludzkiemu rozmaitych produktów, zakończył się wczoraj egzaminem 34 słuchaczów tego kursu.

Na stole ustawione rozmaite artykuły, jak np. zepsute i użyteczne mięso, tłuszcze, fałszowaną herbatę, mleko itp. Pierwszy egzaminował insp. Dobrzyński, który w ciągu kursu wykładał o wagach i miarach, następnie prof. Gizelt o własnościach i badaniu mleka. P. Włodzimirski egzaminował z towaroznawstwa. Pytał o tłuszczach, jajach, pieczywie, cukierkach, napojach wyskokowych, drożdżach itp. Chemik miejski p. Wąsowicz zadawał pytania co do jakości zboża, jarzyn, konserw, owoców i grzybów. Weterynarz miejski dyr. Gottlieb wypytywał o sposobie rozróżniania mięsa surowego i przetworów mięsnych, o chorobach zwierząt i rozpoznawaniu chorób gruźliczych, promienicy, wąglika, bąblowca itd. wreszcie o dziczyźnie, żabach, rakach, rybach, śledziach itd.

Egzaminowanie trwało przeszło dwie godziny. Wszyscy prawie, którzy korzystali z kursu, są ludźmi starszymi, niektórzy analfabeci, a mimo to nauczyli się wiele, z czego wynika, że mogą być bardzo pomocnymi urzędnikom biura targowego w energicznem tępieniu wszystkiego co znajduje się na targu, a zagraża zdrowiu konsumentów. Kilku z nich każdy przedmiot wykładów pojęło zupełnie dokładnie, a zwłaszcza dwaj z pośród nich pp. Tenczarowski i Głowiński.

Przy końcu egzaminu przemówił prezydent p. Ciuchciński, dziękując prelegentom za trudy, przyczem zachęcił służbę do gorliwego spełniania obowiązków. Jeden z słuchaczów kursu, p. Głowiński podziękował za udzielenie uczestnikom kursu sposobności do pożytecznej nauki.

Nasz reporter pisze:

Idę... Idę... Idę...!

Idę za Szanowną Redakcyą, jak wieloryb za okrętem, jak markietanka za regimentem, jak cielę za krową jak fetor za czerwonym pochodem w dniu 1. maja, jak... jak... e, co tu dużo gadać. Idę bo iść muszę. Bo jabym za Szanowną Redakcyę nawet na Golgotę poszedł, za Szan. Redakcyę dałbym sobie wszystkie paznogcie połamać, bo jak czerwona gwardya bez Kryształówki, Breiter bez mandatu, pies bez obroży, koń bez piątej nogi, ryba bez wody, ptaszyna bez jajek, sufrażystki bez histeryi, tak ja bez Szanownej Redakcyi uschnąłbym na tabakę i tylkoby mnie wiatry na wszystkie strony świata rozniosły. Idę więc za Szanowną Redakcyą i tylko się tem cieszę, że idziemy do pedagogów, gdzie przeprzepędziłem dziesiątki nocy karnawałowych, wirując w takt z bosko pięknemi lwowiankami i gdzie miałem szczęście na wiecu widzieć po raz pierwszy w życiu na własne oczy wszystkie lwowskie sufrażystki.

A propos, słyszałem, że Szanowna Redakcya założyła szkołę poetów. Czy to prawda? Może jabym się zapisał? Nie zdołałem ukończyć szkoły dramatycznej u Hellera, to możebym przynajmniej ukończył szkołę poetów u Szanownej Redakcyi. Jabym bardzo rad zostać poetą i mam nawet trochę zdolności. N. p. wiersz na afiszach przedwyborczych, które hyjeny wyborcze na łopatach nosiły, to ja pisałem:

„Kto chce sensacyi, niech zaraz umiera,
A zmartwychwstanie, głos dać na Brei-
[tera“.

albo:

„Choćbyś patryotyzmem ział, jak pło-
[mień z pieca,
Niczem to, gdy nie oddasz głosu na
[Hudeca“.

Może ta próbka wystarczy, aby Szan. Redakcya oceniła mój talent. Po śp. Wyspiańskim nie mamy pierwszorzędnego poety, a jabym chętnie nim został i pisałbym:

„Miałaś Redakcyo złoty róg,
Ale ci zabrał gwałtem wróg,
Miałaś Redakcyo czapkę z piór
A teraz wziął ją, ę fe... brrr!“

Ale na bok wszystkie sprawy osobistej natury. Wyciągnijmy pierwszego śledzia z nowej beczki i zacznijmy go jeść. Kwaśny, bo kwaśny, a właściwie słony nietylko dla nas, ale dla wszystkich konsumentów. Śledziem tym powiedzmy, posługując się przenośnią, to kwestya wódczana. Wypijesz chłopie kieliszek wódki za 10 centów, to z tego pół centa zarobi „przemysł krajowy“, a dziewięć i pół centa, pójdzie na kutasy oficerskie.

Czy Szan. Redakcya nosiła kiedy kutasy? Ja już. Ale wracając „in medias res“, zapytuję Szan. Redakcyę publicznie: będzie pić wódkę, czy nie? Wartoby zrobić bodaj mały strejk. Pierwsi zapewne jako specyaliści w strejkach staną tu socyaliści. Ale w takim razie, co na to Kryształówka? Ja także zastrejkuję, ale naprzód muszę się porządnie ululać, póki jeszcze spirytualia nie drogie.

Sądzę, że i Szan. Redakcya pójdzie za pięknym przykładem i obleje nowe swoje obertacye, i, chociaż tylko w połowie nowego „Gońca“.

Takem się w Szanownej Redakcyi rozmiłował, że gotów jestem nie mieć czasu na „liebesbrief“ do mojej narzeczonej, ślicznej, miłej, przyjemnej, jak słoneczko majowe. Ożeniłbym się z nią zaraz, ale się boję, bo nie widziałem jeszcze na oczy przyszłej teściowej. To bardzo ważna rzecz i od niej zależy, czy się okołtunię, czy nie. A teraz winszuję Szanownej Redakcyi szczęścia, zdrowia, dobrego powodzenia i milion prenumeratorów

aż do śmierci przykuty
NASZ REPORTER

Konferencye dyrektorów szkół średnich. Z kolei przystąpiono do obrad nad referatem: „Co uczynić należałoby celem wytworzenia przyjaźniejszych stosunków między nauczycielstwem a młodzieżą polskich i ruskich gimnazyów“.

Jako środki ku temu podawano w dyskusyi: Bliższe zapoznawanie się profesorów z uczniami, zbieranie się gremialne nauczycieli obu narodowości celem obrad nad sprawami szkolnemi, urządzanie wspólnych wycieczek, w wykładach nauczyciele powinni omawiać szczerze a serdecznie te karty dziejów Polski i Rusi, kiedy to panowała zgoda pomiędzy obu narodami i zgodne zrozumienie obopólnych interesów.

Kandydaci polscy do stanu nauczycielskiego, winni składać egzamin z języka ruskiego, na podstawie czego, otrzymaliby posady w gimnazyach ruskich i utworzyli w ten sposób zgodny „modus vivendi“.

Należy przejąć młodzież gimnazyalną zasadami patryotyzmu, chronić ją od rozpolitykowania się, wszczepiać cześć dla języka i literatury polskiej, omawiać z nią dzieje obu narodowości, bez żadnych tendencyj i wszelkiemi siłami zmierzać do zniszczenia separatyzmu nacyonalnego młodzieży.

Przedewszystkiem zaś należy doprowadzić do wzajemnego zbliżenia gron nauczycielskich gimnazyów polskich i ruskich.

Rezolucyę w tym duchu dra Germana uchwalono. Następnie dyskutowano nad referatem dyr. Terlikowskiego: „Stancye uczniów, bursy i internaty“. Stwierdzono, iż dzisiejsze stancye uczniowskie nie spełniają należycie swego zadania, a nawet, że wręcz są szkodliwe, dla kwestyi wychowania młodzieży, gdyż dziś bierze się studentów na stancyę tylko dla przedsiębiorstwa i interesu prywatnej osoby a nie dla dobra studentów. Tu jedynie zapobiedz można, przez popieranie burs młodzieży, internatów włościańskich i towarzystw zakładających podobne instytucye. Uchwalono następną rezolucyę:

„Zgromadzeni dyrektorowie uważają za rzecz pożądaną, by Sejm przeznaczył wyższą subwencyę na zapomogi dla burs, ewentualnie, by obmyślił fundusz pożyczkowy na budowę burs tak, by bursy zwracały dług przez szereg lat, albo bez procentu, albo na mały procent“.

„Konferencya dyrektorów wyraża przekonanie, że bursy, zakładane przez powiaty, miasta, nawet gminy wiejskie, dla własnych dzieci, uczęszczających do szkół średnich, wpłyną dodatnio na naukowy i etyczny poziom młodzieży“.

Kawalerska jazda. Właściciel dorożki nr. 208, Ziskind Kleiman, oskarżył na policyi swoją prawą rękę, t. j. swego woźnicę Mikołaja Mucynę, iż ten jeździł z taką kawalerską fantazyą, że zniszczył mu nową dorożkę wartości 800 koron. Zamiast więc powozić, będzie musiał Mucyna siedzieć spokojnie w celi, co z drugiej strony nieda mu sposobności do przekraczania taksy dorożkarskiej.

Z KRAJU.

Tramwaj elektryczny w Stanisławowie. Nasz korespondent stanisławowski pisze: Na posiedzeniu Rady miejskiej w dniu 26. bm. omawiano szczegółowo sprawę budowy tramwaju elektrycznego w Stanisławowie, na mocy uchwały, powziętej przy obradach budżetowych na rok 1908.

W zasadzie przedstawiono wniosek, by postawić elektrownię i remizę tramwaju na obszarze gruntu, należącego do nowej gazowni, by umniejszyć przez to koszta administracyjne, zaś proponowana trasa ma być następująca:

Punktem wyjścia będzie dworzec kolejowy, skąd tramwaj podąży ku miastu ulicami Wołczyniecką, Zabłotowską, koło kościoła Jezuitów na 3-go Maja i ulicą Sapieżyńską. U wylotu ul. Trzeciego Maja nastąpi odgałęzienie, jedna linia pójdzie Sapieżyńską do rampy kolejowej, druga do apteki p. Amirowicza, skąd jedna linia pójdzie ulicą Karpińskiego, Rynkiem, ulicą Halicką do Targowicy, druga ulicą Kazimierzowską wejdzie na ulicę Sobieskiego, stąd koło kawiarni „Habsburg“ na ul. Gołuchowskiego aż do zakładu więzień. Tramwaj ma być jednotorowy z wymijaniem. W głosowaniu postanowiono powyższy plan trasy przyjąć, rozpisać konkurs na projekt i wysłać specyalnego delegata celem zbadania urządzeń tramwaju elektrycznego w innych miastach. S. K.

Pruska dzicz aktorska. W „Gazecie Przemyskiej“ z dnia 27. marca czytamy: Opowiedziano nam o następującym wprost nieprawdopodobnym wypadku zuchwałej arogancyi członków trupy teatralnej niemieckiej, zostającej pod dyrekcyą p. Sundta:

Do pociągu jadącego z Jarosławia do Przemyśla, a przyjeżdżającego tu o godzinie 12-tej w południe, wsiadła w Jarosławiu p. R. żona fotografa tutejszego. Nieszczęście chciało, że dostała się do przedziału zajętego przez zacne towarzystwo członków „kulturalnej“ szmiry, włóczącej się po całym kraju i dającej niemieckie przedstawienia zazwyczaj w... „Sokołach“. Panowie ci i panie niezadowoleni widocznie z tego, że pani R. zajęła miejsce w ich przedziale zaczęli się arogancko wobec niej zachowywać, używając przytem wyrażeń w rodzaju: „galizische Fratze, galizische Wanze“ i t. p.

Ponieważ zaś pani R. — acz rozumie dobrze po niemiecku, na karczemne zachowanie to niczem nie reagowała, zacne towarzystwo — a rej wśród nich wiodła jakaś stara megera — prześcigając się w... pruskich konceptach doszło do konkluzyi, że: jest to osoba nieinteligentna, skoro... po niemiecku nie rozumie“.

Z rozmowy zacnej szajki prusaczej znęcającej się w wagonach nad bezbronnemi kobietami podnieść trzeba, że ubolewała ona szczególnie nad tem, że musi (!) przebywać w takim dzikim kraju jak Galicya.

Aby im więc nie dać nadal powodów do użalań, proponujemy, by na przyszłość w żadnem mieście nie wynajmowano teatrowi p. Sundta — sal na przedstawienia.

Co do Przemyśla pewni jesteśmy, że „Sokół“ nie wynajmie mu już na przyszłość sali, nawet gdyby miała produkować się znów inna jaka „königlich preussische Hofschauspielerin“ w rodzaju p. Pospischil.

TELEGRAMY.

Nowy dworzec w Rzeszowie.

Wiedeń. Dzienniki tutejsze podały wiadomość, że dworzec rzeszowski zostaje rozszerzonym przez zbudowanie 10-kilometrowego rozgałęzienia nowych torów i zbudowania nowej ogrzewalni. Wszystko to ma kosztować 500.000 koron.

Nowy skandal pruski.

Bazylea. W jednym z tutejszych hoteli policya znalazła panią Baranowską, żonę pruskiego generał-majora, literalnie zarżniętą zapomocą brzytwy. Mąż, który z nią razem mieszkał, utrzymuje, że żona sama sobie gardło poderżnęła.

Ponieważ jednak przed samą katastrofą między małżonkami przyszło do gwałtownej kłótni, a Baranowska miała 8 razy gardło przecięte, więc gen. majora aresztowano aż do orzeczenia lekarsko sądowego.

Depesze po polsku.

Warszawa. Minister spraw wewnętrznych zezwolił na przyjmowanie depesz w języku polskim i litewskim na wszystkich urzędach pocztowych, cesarstwa.

Zniknięcie dra Gluzińskiego.

Wiedeń. Tutejszy „Neues Wr. Journal“ donosi, że lekarz lwowski dr. Lesław Gluziński znikł od 11. lutego b. r. Wyjechał on ze Lwowa jeszcze przed Bożem narodzeniem, i do 11. lutego mieszkał we Wiedniu w hotelu Savoy. Od tego czasu słuch o nim zaginął. Policya odkryła, że bawił następnie w Badenie, ale i stamtąd znikł zaraz. Policya wiedeńska wyznaczyła 200 koron temu, kto poda bliższe co do zniknięcia dra G. szczegóły.

(Telegram powyższy otrzymaliśmy tuż przed zamknięciem numeru i niemogliśmy tutaj co do autentyczności tego doniesienia zaczerpnąć informacyi).

Bankructwo Rochette'a.

Paryż. Podczas rewizyi w biurze Rochetta, znaleziono kilka listów, z których wynika, że Rochette przez dłuższy czas informowany był dokładnie przez pewnego inspektora policyi o wszystkich przeciw niemu zamierzonych krokach i śledztwach. Skompromitowanego komisarza policyi usunięto.

Swisnęli 11 milionów.

Nowy Jork. W pitsburskim banku farmerów kasyer Reiber na spółkę z drugim urzędnikiem Jungiem zdefraudował jedenaście milionów dolarów czyli 55 milionów koron. (Ładnie się Prusaczkowie spisują w Ameryce!)

Nawrócona grzesznica.

Rzym. P. Toselli zaprzecza w sposób stanowczy pogłoskom, jakoby między nim a jego żoną, b. hr. Montignoso, panowały jakieś niesnaski i jakoby pani Toselli nosiła się z myślą rozwodu. Z innej atoli strony dziennik ten dowiaduje się, że, pomimo zaprzeczenia Toselliego, pani Toselli nie żyje dobrze z mężem i wskutek tego powzięła nawet myśl spotkania się ze swym pierwszym mężem, królem saskim, który ma przybyć do Włoch. Policya poczyniła wszelkie zarządzenia, aby pani Toselli uniemożliwić spotkanie się z królem włoskim.

Niebezpieczne symptomata.

Berlin. Cesarz Wilhelm zamówił dla siebie pomnik, przedstawiający go jako inspektora w rzymskim stroju, długich włosach i z wieńcem laurowym na głowie. Cesarz trzyma stopę na kuli ziemskiej, jakby ją miał rozgnieść a nadto u stóp siedzi sowa, symbol mądrości.

Sprawa ta budzi w całym Berlinie wielką konsternacyę.

NADESŁANE.

Po pięćdziesiąt groszy za 1 wiersz petitowy
Za rubrykę tę Redakcya nie bierze odpowiedzialności.

FRANCISZEK MARZEC.

DWA DOMY.

(Obrazek ze wsi).

Popołudniowa nauka w szkole ludowej już skończona. Prześpiewały dziatki pieśń nabożną, zmówiły modlitwę i żegnając się ze swym nauczycielem — swobodne, jakby trudów nieznały, wychodzą z izby szkolnej parami — najpierw dziewczęta, potem chłopcy — wychodzą... wychodzą...

Nauczyciel opuścił izbę szkolną ostatni — wyszedł przed szkołę i spogląda to w tę, to w ową stronę za dziećmi, zda się błogosławi je w duchu — wychowanki swoje.

Już dziatwa daleko, oko wychowawcy już jej nie dosięga; ale nauczyciel spokojny, bo z pod jego troskliwej opieki podążyły dzieci pod rodzicielską słomianą strzechę...

Pospieszmy za dziatwą ze szkoły do domu wracającą.

Gwarno i wesoło na drodze. Dzieci, jak dzieci, rozmawiają, śmieją się, pokrzykują. Nie dopatrzysz atoli między niemi ani zuchwałości, ani grubijańskich nie dosłyszysz wyrazów; nie kłócą się, nie popychają, nie czubią. To dzieci szkolne.

Przechodnia witają słowem bożem, starszego uszanują; przejęte serdecznie ważnością swego obowiązku, wiernie go na każdym kroku wypełniają.

Dwóch chłopczyków, Jaś i Wojtuś, pożegnawszy się ze swymi kolegami na drodze, podążyło razem wązką uliczką, bo w tamtej stronie ich rodzice mieszkają.

Zajrzeli nieopodal ostrożnie do krzaka, gdzie było gniazdeczko ptasie. Samiczka właśnie karmiła młode, a podawszy robaczka jednemu pisklęciu w dzióbek, odfrunęła tylko cokolwiek od gniazdka i niespłoszona usiadła tuż obok na gałązce, kręcąc się wesoło. Znała tych chłopczyków, bo to byli jej codzienni goście, dobrzy — nieszkodliwi. I drobna ptaszyna znać wiedziała, że to dzieci szkolne.

Niebawem uściskali sobie rączki owi chłopcy na pożegnanie.

Jaś wszedł do chaty rodzicielskiej, pochwalił Pana Boga — ucałował ręce ojca i matki — przywitał się grzecznie z resztą domowników.

Rodzice przyjęli dziecko czule z swem ciepłem macierzyńskiem — podali mu zwykły posiłek, wypytywali łagodnie, czego się dziś uczył, czy był grzeczny i uważny — czy umiał lekcyę i t. d. Dziecko wesołe, swobodne, otwarte, przyrzekło z całą szczerością i uciechą wszystko potem dokładnie opowiedzieć i poszło do swego zatrudnienia.

Wieczorem, po zwykłej robocie, gromadzą się wszyscy domownicy w izbie, a Jaś opowiada z radością, z serdeczną prostotą, czego się dziś uczył. Każdy z zajęciem słucha ciekawych wiadomości i pouczających przykładów z historyi biblijnej, z dziejów polskich, z geografii, z nauk przyrodniczych, a gdy w końcu przytoczył Jaś rachunek, jaki dziś w szkole rozwiązał, rozczulony ojciec przycisnął syna do swojej piersi, mówiąc:

Mój Boże! Jakiem to wielkiem dobrodziejstwem jest przecież ta szkoła! Ucz się dziecię moje, słuchaj i szanuj swych przełożonych, bo oni cię tak, jako my ojcowie, prowadzą do Boga, i na poczciwego człowieka wychowują!

I radowało się serce tych zacnych rodziców i wpatrywali się w swe dziecię z niewymowną miłością, pragnęli mu nieba przychylić, boć to ich skarb największy... to ich jedyna nadzieja i pociecha w starości.

A teraz chodźmy za Wojtusiem.

Przybył on przed dom rodzicielski i zobaczył swego ojca przy płocie, trzymającego w górę motykę, jakby do uderzenia. Zbliżył się nieśmiało do niego i chciał rękę ojcowską ucałować. Lecz zamiar Wojtusia nie przyszedł do skutku, bo ojciec rozgniewany krzyknął opryskliwie:

— A pójdziesz ty raku do chałupy! przez ciebie mi kret uciekł! nie widziałeś, żem na niego czatował?!

— A toście chcieli zabić kreta ojcze? — spytało dziecko drżącym glosem.

— A tyś głuptaku co myślał? nie widzisz ile mi ziemi w ogrodzie naprzewracał?

— Słyszałem w szkole, żekret jest bardzo pożyteczny, bo zjada dużo w ziemi szkodliwego robactwa — odezwał się znowu Wojtuś.

— Ktoby ta słuchał takich plotek — rzekł ojciec — idź do chałupy, a nie zasiądź tam znowu do jakiego bazgrania, boś na to miał dosyć czasu w szkole — ino weź koszyk i narwijcie z dziewką trawy... choćby i na pańskiem...

Wojtuś posmutniał i poszedł do chaty. Przywitawszy się z matką, odezwał się do niej błagalnie:

Mamusiu moja, ja nie pójdę na pańskie pole rwać trawy, choć mi tatuś kazali...

Matka wpatrzyła się w Wojtusia, zrozumiała może myśli jego i rzekła:

Trawy rwać choćby i na cudzem polu nie grzech — ale i na swojem mamy jej dosyć; pójdziecie do naszego żyta, tylko przed ojcem nie trzeba prawdy gadać.

Do samego wieczora był Wojtuś zajęty pracą. Wieczorem na wsi bardzo mało świecą; prawie z zachodem słońca kładą się w wielu domach na spoczynek. Wojtuś chciał się czegoś uczyć, ale mu ojciec ze zbytniej oszczędności nie pozwolił świecić. Matka jednak wyperswadowała to jakoś swemu mężowi i Wojtuś począł coś po cichu czytać z książki przy palącem się na kominie łuczywie, czy zrozumiał i spamiętał co czytał, nie można stanowczo twierdzić, bo ojciec jego ciągle narzekał:

Żeby mi tak nie o tę karę chodziło, tobym nigdy, przenigdy nie pozwolił tyle lat chłopakowi nadaremnie w szkole próżniaczyć! Dosyć tego, że się nauczył jako tako czytać i umie z książki Pana Boga chwalić; a co mu po więcej? A czy mi to Pan Bóg nie dał dziecka, a ja do bydła muszę najmować pastucha? A czy to jemu szkoła potrzebna? Czy ze szkoły będzie miał chleb? Niech każdy patrzy tego, z czego żyje! Oj, skaranie boskie i wielkie uciemiężenie na człowieka z tą szkołą! A potem zwróciwszy się do Wojtusia krzyknął z gniewem:

Idź spać, próżniaku! szkoda tego drzewa, co go palisz!

Wojtuś przestraszony, zawarł książkę, nie miał odwagi przystąpić do ojca i ucałować jego rękę na „dobranoc“, ukląkł tylko przy ławce, a pomodliwszy się, smutny i zamyślony, położył się na posłaniu. Co on tam w duszy swojej rozbierał Bogu tylko wiadomo!

Odpowiedzialny redaktor: Stanisław Brandowski. Wydawca: Stanisław Tokarski. Z drukarni „Słowa Polskiego“ we Lwowie, pod zarządem Józefa Zielińskiego